

ROZMAITOŚCI.

Dnia 15. Października. № 42.

Roku 1856.

HETMAŃSKIE LEKI.

O b r a z e k.

Twarde czasy! dzielni ludzie!
Oj! bo też to wiek daleki!
Dziś śnim o nich jak o cudzie, —
Dziś nie starczą takie leki!

Wielki ruch panował w Barze. Miasto i zamek wyglądały jak wielkie mrówisko, rojące się tysiącami mrówek. Jezdni i piesi, zbrojni i bezbronni, szlachta i chłopstwo, mężczyźni i kobiety, snuli się w rozmaitych kierunkach, popychani jakąś jedną myślą silną, jakimś jednym gorączkowym zajęciem. Dobrze to mówią: strach ma wielkie oczy; a wieść o Tatarach, to jeden z tych strachów, co to się odzywa w każdym psa wyciu i w każdym głośniejszym okrzyku, — co się przypomni w każdym jaśniejszym ogniu połysku, co w nocy do sennej zakradnie się pościeli, i powiekom skleić się nie da, a we dnie do każdej łyżki strawy zajrzy ciekawie, i spokojnie spożyć jej nie pozwoli.

Przed tygodniem, kilku szlachty, co z ogólnej zatury swego mienia, tylko po jednym, strzalałymi podziurawionym kontuszu, po jednym koniu, po jednej poszczerbionej szabli i po łbie nakiereszowanym unieśli, pierwsi przybyli z tą straszną wieścią do Baru. — Odtąd codzień liczniejszemi kupami mnoga ludność garnęła się do miasteczka i szlachta okoliczna, co jeszcze na czas pospiała wprowadzić żony, dzieci i sprzęt co najkosztowniejszy z drewnianych dworców swoich, które z resztą dobytku pohańcowi na łup zostawiła, — i chłopstwo ze wsi pobliskich, co do lasu ująć nie zdążyło. Tego było najmniej; chłop zawsze niechętnie i tylko w razie ostateczności chronił się do miasta, bo wiedział że go tam najbardziej pędzić będą do wszelkiej pracy, a najmniej dbać o jego bezpieczeństwo; gdy tymczasem las przedstawiał mu się jako najpewniejsza i najponętniejsza forteca: bo to i luda najwięcej pomieścił wygodnie, —

i zrosłemu z koniem Tatarowi, wielkie w płądowaniu stawał trudności, — i wreszcie bo w nim szlachty nie było.

Znakomitszych zbiegów lokowano na zamku, — innych w klasztorze OO. Karmelitów, a reszta mieściła się jak kto mógł po dworcach miejskich i gospodach.

W okół miasta przebijano fossy, dosypywano wałów, dokończano ostrokołów; na zamku naprawiono mury, a ze strzelnic hetmańskie działka ciekawie wyjrzały na okolicę. Tłumy od rana do wieczora zalegały rynek i ulice miasteczka, bo nikt nie mógł wysiedzieć w domu. Świeże przybysze co chwila zносили coraz nowe wieści, które chwymano chciwie, choć one żadnej nie niosły pociechy: grabież, mord, pożoga, sromota i jasyr, były niezmiennym tematem tych relacyj, z rozmaitemi tylko wariantami okropności i zgrozy. Szlachta kręciła i targała wasy ze złości, wstyd i rozpacz, — klęła od wszystkich djabłów sprosnego pohańca, wzywała pomsty Bożej na niego i ścisłała rękojęcie swych szabel. Kobiety, jedno szlochały po cichu, drugie głośnieym zawodziły płaczem, i drżały, nie tyle od strachu, co od żalu za tem co utraciły sercu drogiego. — Pomiedzy ten ruchliwy tłum, często gęsto przemykały się z zamku posyłki do tych, co kierowali robotą okół wzmocnienia miejskich okopów; a robota szła zwało, bo i trwoga o własną skórę i głosem starszych nagłona. Rozkazy, wołania, odgrozki, krzyki zgrozy i zemsty, płacze i łkania, szcęk broni, chrzęst rydlów i stuk młotów, wzbijając się w górę, mijaly się, spotykały i krzyżowały w powietrzu, i wiklały się w jakąś nierozgmatwaną wrzawę, która warząc głucho, unosiła się i ślaniała nad miastem, jak niewidzialna, a jednak złowieszczą, burzę wróżąca chmura.

W narożnej zamkowej komnacie, dziedzic Baru, hetman wielki koronny, Stanisław na Konicopolu Konicypolski, kasztelan krakowski, spoczywał na łożu boleści, zdjęty niemocą. Uporczywa *kwartanna*, mimo starań i zabiegów lekarzy, od miesiąca opuścić go nie chciała. Kiedy przysłała wieść o nowym

zagonie Tatarów, których był niedawnemi czasami między Haliczem a Bołszowcem potężnie przepłoszył, zagrała krew w żyłach dzielnego wojownika, zerwał się z łoża, i chciał pójść tej podłej szarańczy popławniczkę pola przypomnieć; prośby i przedstawienia lekarzy, a nadewszystko łzy żony, z trudnością go od tego zamiaru wstrzymać zdołały. W miarę doniesień o coraz to nowych spustoszeniach i grabieżach tatarskich, w miarę jak się zbliżał nieprzyjaciel, rosła niecierpliwość hetmana; ciężko było temu co zwykł był w polu szukać i gromić wroga, czekać go teraz bezczynnie w domu, i jeszcze w łóżku. Przymus ten tak mu był przykry, tak mu ciągle stał w myśli rozdrażnionej gorączką, że we śnie zrywał się, wołał szabli i konia, i do pochodu wydawał rozkazy. We dnie, jak tylko sfolgowała gorączka, hetman słuchał raportów, dawał rozporządzenia, i całym przygotowaniem do obrony sam ze swej komnaty kierował. Czasami nawet kazał się sadzać w wysokim poręczowem krześle, zanosić pod okno z którego większą część miasta widać było, i patrzył jak wykonywano jego rozkazy.

Takie ciągłe natężenie umysłu, taka niespokojność i szamotanie się rycerskiego ducha w osłabionem chorobą ciele, pogorszało jeszcze stan hetmańskiego zdrowia. Tego dnia, o którym mówimy, przypadł właśnie paroxyzm, a był ciężki i długi; gorączka przeciągnęła się bardzo, i dopiero nad wieczorem ustępować zaczęła.

Na łóżku, przy ścianie przeciwnej okna postawionem, w głowach podestaniem wysoko, na wpół leżąc na wpół siedząc, spoczywał hetman. Przymknięte oczy czasami tylko otwierał, spoglądając po obecnych, i ciężko jeszcze robił pierściami. Gorączka zwolna go opuszczała.

U poduszek, przy głowie chorego, stał mały i drobny człowieczek, w czarnym hiszpańskim stroju, z cieniuchną szpadką u boku; jedną ręką opierał się na poręczu łóżka, drugą, schylny nieco naprzód, trzymał owisłą, gorącą rękę hetmana, a oczyma pilnie wodził po jego twarzy. Był to Włoch, Senior Petrucci, lekarz nadworny. W nogach łoża, w wielkiem krześle, w którym czasami noszono hetmana, z rękami złożonemi jak do modlitwy, ze wzrokiem troskliwie utkwionym w obliczu chorego, siedziała smutna i niespokojna hetmańska małżonka, Chrystyna z Lubomirskich, hrabianka na Wiśniczcu, córka kasztelana Wojnickiego, urodzona z Branickiej, którą swego czasu zwano zwierciadłem pań

zanych i matron poczciwych. Za nią stał ojciec Fulgenty, przeor zakonu Karmelitów barskich. U drzwi stali dwaj hajducy w barwie Koniecpolskich, gotowi na każde skinienie.

Cichość zupełna panowała w komnacie, wśród której słychać tylko było ciężki oddech chorego, i niewyraźne odgłosy, od strony miasta dolatującej czasami wrzawy. Wtem dzwonek karmelitańskiego kościoła na Anioł Pański zadzwonił. W jednej chwili, jakby na jedno skinienie, wszyscy w komnacie, każdy na swoim miejscu, pokłękli: i sama pani Krakowska, i ojciec Fulgenty, i włoski doktor na jedno kolano, i hajducy przy drzwiach na obadwa, serdecznie, aż szyby w oknie zabrzękły, — i cicha a szczerza modlitwa spłynęła prosto ku niebu. Nawet chory przytomniej już otworzył oczy, usta się jego poruszyły, i niedosłyszanym szeptem wtórowały ogólnej modlitwie. Ostatni promień zachodzącego słońca przekradłszy się przez okno, upadł prosto na łożo hetmańskie, i oświecił głównejsze postaci tej pięknej grupy, — i zdało się na chwilę, jakoby nad nią widomie przeszedł Anioł Pański.

Po skończonej modlitwie hetman widocznie orzeźwiał. Czule popatrzył na żonę, kłęczącą jeszcze przy nim, i wyciągnął ku niej rękę, a ona uchwyciła ją, gorącemi pocałunkami okryła, i cichemi zrosiła łzami. Wtedy, wyraźnym już, choć jeszcze nieco stłumionym przemówił do niej głosem:

— Coż ci to Krysiu, serce moje? Co ci to? Czy ci tak bardzo strach Tatara?

— Strach, jak strach, odrzekła na to łzawym głosem Krysia — o siebie się nieboję, kiedy mam takiego Pana i obrońcę, — i tu znów ucałowała rękę hetmana, — ale o! to jakiś niepomamowany żal ścisła moje serce, że ci szkaradni poganie, w sam raz, jakby umyślnie przyszli, drogie zdrowie Waszmości tak już niemocne turbować...

— Moje kochane dziecko, Bóg ci zapłać za tę serdeczną troskliwość — ale proszę cię nie frasuj się tem znowu tak wielce; choroba moja nie taka straszna jak wam się zdaje, i gdyby nie Senior Petrucci, tobym dziś jeszcze siadł na konia, i pojechał na powitanie nieproszonych gości. Zresztą, we wszystkim jest dopust Boży, a pan Bóg najlepiej wie co dla nas źle a co dobrze. Na niego tedy Krysiu moja zdaj twoje troski, a tylko módl się w cichości serca twego; — twoja modlitwa pewno trafi do nieba, i błogosławieństwo Boskie na nas sprowadzi. Prawda ojczu Fulgenty?

— Święta prawda Wielmożny panie, odparł kłaniając się zagadniony, — cnotliwe modły są najniezawodniejszym, niebieskiej benedykcji konduktorem, — a ufność w Bogu to najdzielniejszy puklerz, *contra moerores et dolores hujus mundi*.

— Widzisz serce, że i ojciec Fulgenty potwierdził słowa moje — bądź zatem spokojna i cierpliwa, a Bóg cię pocieszy... To mówiąc hetman przyciągnął żonę ku sobie, i pocałował ją w czoło, a potem rzekł łagodnie:

— Znadto się trudzisz przy mnie i niewczasujesz, moja duszo; wyglądasz sama bardziej niż ja na chorą. To nie dobrze moje dziecko, możesz naprawdę się rozchorować... Wszak prawda Mości Petrucci?...

— Z pewnością — odparł Włoch krótko po łacinie.

— A widzisz... Więc teraz przynajmniej, kiedy się mam lepiej, idź do siebie, i wypocznij trochę. Ja tymczasem dowiem się, jak tam rzecz stoi z obroną miasta... trzeba będzie może jeszcze co zarządzić, rozkazać, — a takie rzeczy kobiet nie bawią. I pocałował ją powtórnie w czoło, — ona ucałowała mu rękę, księdzu Fulgentemu skłoniła się z uszanowaniem, lekarzowi grzecznie, i pożegnana niskim obu ukłonem, z oczyma łez jeszcze pełnemi, wolnym krokiem odeszła. Hajducy otwartli przed nią podwoje na ścieżaj, i przymknęli napowrot, a w komnacie znów na chwilę nastąpiła cisza. Wreszcie hetman odpocząwszy nieco, zawołał: „Bazyli!“

Jeden z hajduków wyprostował się mocniej, i nadstawił ucha.

— Niechaj mi tutaj kto poprosi pana kapitana Nikolego, — hajduk wyszedł, a hetman zwracając się znów do księdza, zapytał: A co tam słyhać w mieście ojcie Fulgenty? bardzo się tam boją Tatarów?

— Cożby się bać nie mieli; boją się Wielmożny panie, ale jednak nie tracą ufności w Bogu i w potężnym puklerzu, za jaki im stanie samo imię tego, pod którego opieki skrzydła się uciekli.

— Zbyt łaskawie wyrażacie się, mój ojcie o swoim słudze; i zaprawdę, nie myślałem nigdy żeby usta, które w domu Bożym tak dzielnie prostują ścieżki pańskie, umiały także dworskim, pochlebny przemawiać językiem.

— Wielmożny panie! nie spodziewałem się nigdy podobnego zarzutu z ust hetmańskich usłyszeć; znadto się brzydzę pochlebstwem, żebym się miał nawet dla Wielmożnego pana zniżać do niego; mówię co prawda; a jeżeli

mnie nie wiara, to proszę kogokolwiek kto był w mieście zapytać, gdzie najczęściej luda się ciśnie? a odpowie: że do kościoła, i do progów hetmańskiego mieszkania, kędy każdy o stanie drogiego mu zdrowia Waszej Miłości radby się co najwięcej dobrego dowiedzieć...

— Tak, tak, prawda, — święta prawda — potwierdził znów Włoch lakonicznie. Tymczasem po ojcu Fulgenty znac było, że słowa hetmańskie, bez żadnej pewnie głębszej myśli wyrzeczone, przykre na nim zrobiły wrażenie. Gdy mówił, głos jego drżał i brzmiał jakoś nieczysto, jakby łzami tłumiony, a po twarzy bolesny jakiś wyraz się przeciągnął. Dojrzał tego hetman, i pożałował niebacznej mowy, bo wielce ojca Fulgentego szanował; podparł się lewą ręką na łóżku, a siadłszy całkiem o swojej mocy, prawą wyciągnął do księdza, i zawołał prędko, nim jeszcze Włoch miał czas dokończyć swego potwierdzenia:

— Ależ mó... mó... mój ojcie! — hetman bowiem jękał się w mowie, ilekroć był mocniej wzruszony, albo zbyt prędko chciał coś powiedzieć, — mój ojcie! daruj mi; nie chciałem cię bynajmniej obrazić — to tak mi się tylko jakoś powiedziało, — a choremu dużo wybaczaj trzeba...

— A broń mię Panie Boże, żebym się zaś ja miał na Miłościwego pana obrażać! A niechże mię od tego Najświętsza Panna i wszyscy Święci uchowają — tylko tak jakoś przykro mi było...

— No, no, no! podajże mi już rękę, i chodź mię uściskaj Ojcie Dobrodzieju; bo myśl, że ty się możesz gniewać na mnie, boleśniejszaby mi była i stokroć nieznośniejszą, niż ta nieznośna *k. k. k. kwartanna*, taka uparta, że nawet Senior Petrucci całą swoją sztukę daremnie wysiła, żeby ją odemnie wyprosić.

— Daruje Wasza Wysokość, odparł Włoch, ale kto tak niebacznie jak Wasza Wysokość naraża się na wszelkiego rodzaju wzruszenia, temu żadna sztuka pomocną być nie może...

— O! Waść zawsze jedną piosnkę spiewasz Mości Doktorze, — a ja tobie powiadam, że dla mnie jedno tylko jest lekarstwo, które mię bez ochyby z łóża podźwignie.

— Mocno ciekawy jestem tego cndownego środka; będzie to zapewne jakaś...

— Nie zgadniesz, nie zgadniesz! wolę ci sam powiedzieć. Oto ja dotąd będę chorzał i stękał, póki raz konia nie dosiędę, i wręcz się z Tatarzynem nie zetnę...

— Wolne żarty, Wielmożny panie, rzekł na to z lekkim uśmiechem, już całkiem uspokojony ksiądz Fulgenty.

— Nie zartuję, dalibóg nie zartuję Ojcie Dobrodzieju. Ten spoczynek mię zabija; ta gnuśność trawi moje siły; mnie trzeba ruchu, powietrza!...

Ksiądz i doktor na takie *dictum acerbum*, gotowali się do dłuższych i bardziej przekonujących replik, ale wtem drzwi się otwarły, i wszedł kapitan Nikoli. Rzekł więc hetman: Moi kochani, wiedziałem naprzód że mój medykament nie znajdzie u was aprobaicy; ale odtóżmy spory na kiedy indziej, bo w tej chwili chciałbym kilka słów z Nikolim pomówić, muszę was zatem na chwilę pożegnać. Ojcie Fulgenty, proszę jeszcze raz darować mi mimowolną obrazę, i nie zapominać o mnie w świątobliwych modłach swoich. Senior Petrucci, proszę się nie gniewać, że tak obcesem, niby intruz zuchwały śmiem się wdziierać w tajniki sztuki Hipokrata i Galena. A teraz bywajcie zdrowi!

To rzekłszy podał rękę księdzu, który ją uściskał z uszanowaniem, skinął głową Włochowi, i pożegnany od obudwu niskimi ukłony, został się sam z Nikolim i hajdukami.

Ten Nikoli był to Francuz rodem, który zostając w wojsku Rzeczypospolitej, po bitwie pod Cecorą, wraz z Koniecpolskim, hetmanem polnym jeszcze naówczas, i wielu innemi dostał się był do tureckiej niewoli, i tamże razem z nim przez półtrzecia roku w sławnej wieży *Jedykule* w ciężkich okowach przesiedział. Owoż tedy gdy później hetman za okupem wolność odzyskał, owego Francuza, jako dobrego towarzysza więzienia, i tęgiego żołnierza, bo jego męstwo sam widział pod Cecorą, u ówczesnego Wezyra Hussein Baszy z niewoli wyprosił. Wdzięczny Francuz, już też więcej dobroczyńcy swego do śmierci nie opuścił, i był kapitanem nad hetmańską armatą, a na stawianiu i ubezpieczeniu fortecy doskonale się też rozumiał. Jemu tedy i naówczas, jako biegłemu w tej rzeczy, hetman wzmocnienie Baru polecił, i kierunek cały nad robotami około tego poruczył.

Razem z Nikolim, wyprowadził był hetman z niewoli tureckiej i owego hajduka Bazylego, któregośmy już u drzwi komnaty hetmańskiej widzieli. Z tym Bazylim — bo ucieczka była historia. Gdy bowiem Raduł z Turkami na Wołoszczyźnie się ubijał niejaki szlachcic Hieronim Łaski, zebrał był znaczny poczet ludzi, i z nimi na pomoc Radułowi poszedł. Skoro jednak tenże niebawem na Bukowinie bitwę przegrał, wielu naszych dostało się do niewoli, a między nimi i ów

hajduk Bazyli. A że to był chłop wysoki, przystojny i pokazny, przeto Basza który był Raduła rozgromił, chcąc się lepiej cesarzowi swemu zalecić, kazał go wymyć, wygolić i ustroić pięknie, i potem go za znakomitego jakiegoś jeńca przed sułtanem udał. Wsadzono go zatem razem z innymi znaczej-szymi do owej wieży *Jedykuly*, także *Czar-ną wieżą* zwanej, i tam go już hetman zastał, a zrazu sądząc z ubioru, brał go także za jaką dostojną osobę; lecz niebawem co on zacz poznawszy, używał go do swych posług, i wielką z niego miał wygodę. Potem tedy, gdy sam wolność odzyskał, odkrywszy Wezyrowi całą prawdę, i o fałszu owego Baszy go oświeciwszy, łatwo dla Bazylego także wolność wyjednał. Bazyli też hetmana nieodstępował już do śmierci, i był dla niego zawsze z niezmiernem przywiązaniem; tylko kiedy sobie podchmilił, to zwykł był płakać i narzekać na swego pana, że go z Czarnej Wieży wyprowadził, mówiąc: „lepiej mi tam było, bom na każdy dzień, nic nie robiąc, brał po sześć *aspersn*.“ *) Ale to bywało tylko po pijanuu, — bo gdy się wytrzeźwił, to nawet wierzyć nie chciał, żeby coś takiego miał mówić, i wtedy opowiadał czasami o tej niewoli tureckiej różne rzeczy, takie że aż ludziom, co słuchali, włosy na głowie stawały, — jak na przykład o owem morderstwie księcia Samuela Koreckiego, który był już raz z niewoli uciekł, ale go złapano, a później go na rozkaz Wezyra, w onej wieży na sali, która tuż przylegała do tej, w której wszyscy więźnie siedzieli, Sipajhowie ręcznikami udu-sili.

Niedługo trwała narada słabego hetmana z Nikolim. Kapitan oświadczył że rozporządzenia hetmańskie najzupełniej wykonane zostały, że roboty około wałów miejskich skończone, że miejsca na wałach i murach, tak dla zbrojnej szlachty, jako też dla nadwornych rot wyznaczone, i że wszystko w pogotowiu czeka na przyjęcie Tatarów.

— Dobrze, dobrze, rzekł hetman, z widocznym zadowoleniem wysłuchawszy raportu Nikolego, którego bardzo lubił; — zawsze zuch z Waści, Mości kapitanie — ale coż tam nowego słysząc o tych nieproszonych naszych gościach?

— O ile się zdaje z opowiadań świeżo przybyłych ludzi, Tatarzy nie są jeszcze tak bli-

*) *Aspern* — najmniejszy ówczesny srebrny pieniądz turecki, wartości mniej więcej 1½ grosza polskiego.

sko, i zapewne przez tę noc zostawią nas w pokoju, a jutro dopiero zawitają w gościne.

— Ha! psuibraty!.. zebym tak miał chioć z kilkaset koni pod ręką, nie czekałbym tu na nich jak lis w norze! Dalibóg nie czekałbym! Nie utrzymałby mnie w łóżku Petrucci!..

Nikoli nie śmiał przerwać hetmańskiego oburzenia. Jak stał zdając raport, tak pozostał nieruchomy, w postawie pełnej uszanowania, i milczał. Hetman sam przestał na chwilę, ale potem zapalając się coraz bardziej, jakając się coraz mocniej, drżącym od wzruszenia mówił głosem:

— Tfu! przeklecie! Na toż to już przyszło Koniecpolskiemu, żeby mu pod bokiem bezkarnie plądrowało to plugastwo pogańskie, i niszczyło ludzkie dobytki, i ludzi w jasyr pędziło! Za cożes Boże twarz Twoją od wiernych twoich odwrócił, i na służbę twego takie ponizenie dopuścił?.....

Znów była chwila milczenia; ale po skurczonych pięściach, po zaognionych policzkach i nabiegłych żyłach na skroni, znać było że uniesienie hetmana nie przeminęło. Dopóki jeszcze nieprzyjaciel daleko, — póki umocnienie miasta i urządzenie jego obrony dawały jakie takie rycerskiemu duchowi zajęcie, dopóty było jak to mówią pół biedy; ale kiedy dzięki staraniom i energii Nikolego, miasto, o ile tylko można było, zostało ubezpieczonem i postawionem w stanie obronnym, a nieprzyjaciel coraz to się przybliżał, — w miarę tego coraz bardziej wzmagala się niecierpliwosć, cierpiała szlachetna duma, i pogorszał się stan duszy wojownika. Jemu się zdawało, że te straszne łony, które widział ze swego okna szeroko rozlane po dalekiem niebie, to niby krwawe skargi ojczyzny i ziomków przeciw jego bezczynności ognistemi głoskami wypisane na niebieskim sklepie; — że te resztki dymu, tę woń zgorzelizny, która się z wiatrem czasami aż do jego komnaty przez otwarte przywalaśała okno, to zuchwały jego bezsilnością najezdniczku jemu na wzgardę i uragowisko posyła; — jemu się zdawało niekiedy, że wraz z tym wiatrem dolatują do niego jęki padających pod tatarskim obuchem rodaków, wrzaski rozpaczonych dzieci matek, głuche, przesywające krzyki bezczeszczonej dziewic i skwierk konających na spisach lub pod końskimi kopyty niemowląt. A wszystkie te krzyki, z których każdy z osobna zdolny był niebo i ziemię poruszyć, wiązały się razem i łączyły w jeden okropny hymn, wołający niby o pomstę do Boga na

niego, — na tego, który z obowiązku i urzędu pierwszym był kraju puklerzem i obrońcą.

Niewychłódła jeszcze całkiem z gorączki krew, rozdrażniona osłabieniem wyobraźnia, taką siłą nawiodły, tak spętowały te dotkliwe rozżalonej myśli obrazy, że nieprzytomny sobie hetman zerwał się na łożu i krzyknął: — Nie! nie!.. to być nie może!.. Podać mi szablę! Niech mi przyprowadzą konia!.. I różnemi nogami stanął na podłodze.

Wtedy Nikoli który ciągle niespokojnym wzrokiem śledził zmiany, jakimi się wewnętrzna walka piętnowała na twarzy hetmana, postąpił tylko krok naprzód, ukląkł na jedno kolano, i składając ręce jak do modlitwy, — głosem, w którym pełna troskliwości prośba mieszała się jakoby z lekkim wyrzutem odcieniem, zawołał:

— Miłościwy panie!

Za przykładem Nikolego, stojący u drzwi hajducy, chociaż nie rozumieli dobrze o co chodzi, machinalnie prawie pokłękli, a Bazyli, który jak był chłop duży, tak do płaczu skłonny, że go dworscy zwykle Beksą nazywali, skrzywił się okropnie i rękawem począł oczy obcierać.

Na ten widok, na serdeczny dźwięk głosu kapitana, opamiętał się hetman, powiódł wzrokiem dokoła, przetarł ręką czoło, usiadł napowrót na łożu, i wyciągnawszy rękę ku klęczącemu, spokojnie już ale wzruszonym głosem przemówił:

— Nikoli!

Nikoli przystąpił do łoża, a ujawszy wyciągniętą ku sobie prawicę, której serdeczny ucisk poczuł na swem ręku, ucałował ją kilkakrotnie. Bazyli o mało się wgłos nie rozbeczał; tylko go uszanowauie dla obecności pańskiej wstrzymywało; co widząc drugi hajduk, nieprzyzwyczajoną do wydawania tkliwych uczuć twarz swoją począł wykrzywiać w najkomiczniejsze grymasy, które miały także rozczulenie i inklinacją do płaczu oznaczać.

— Nie bój się pocziwy Nikoli, mówił dalej hetman, to już przeminęło; — ale widzisz, — ty pojmujesz co się tam we mnie dzieje, że Tatarowi w oczy zajrzeć nie mogę, — to się ze mnie śmiać niepowinieneś....

— Nie do śmiechu mi nie było miłościwy hetmanie; — bo i komużby się na śmiech zebrać mogło, widząc takie uniesienie, tak osłabionemu zdrowiu Waszmości szkodliwe...

— Nie jestem ci ja znów tak słaby jak wam się zdaje, a ten Tatar, to najgorsza moja choroba. Ręczę ci, i powiedziałem to

dziś Petrucemu, że gdyby tak po karkach tatarskich choć trocha szabłą podzwonić, to by było najlepsze dla mnie lekarstwo... Ale coż — zamku ogołacać nie mogę tak dalece; a to cobym mógł bez szkody wyprowadzić ztąd w pole, to znów za nalo, a z motyką na słońce porywać się nie lubię... Ha! gdyby tak z kilkaset koni!... Ale to daremne rzeczy; nie ma co robić; trzeba się jako jeź zwinąć, i tylko kolce nadstawić.

— Jeżeli gończe zechcą jeża zaczepić, mam nadzieję, że się dobrze na kolcach pokłują!

— To też jedyna, choć bardzo słaba pociecha, mój kapitanie.... Przy tych słowach hetman obrócił się bokiem ku drzwiom, i wtedy dopiero ujrzał zabczanego Bazylego i usiłującego płakać jego towarzysza; obaj klęczeli jeszcze w postawach w jakichśmy ich widzieli. Lekki uśmiech wybiegł na twarz hetmana, który zawołał z udanym gniewem:

— A wy stare głupcy, co znowu robicie? Żeby teraz kto wszedł niespodzianie, myślałby, że już modlitwy za konających przy mnie odmawiacie. Wstańcie mi zaraz mazgaje; — już to niezawodnie twój przykład ty nieznośny bekso?! co?... Słyszysz! Bazyli!.. czego beczysz?

Bazyli nie nie odpowiedział, tylko oczy silniej jeszcze wycierał rękawem, — a w oczach jego kolegi, także wreszcie coś naksztalt łez naprawdę zabłysło.

— No — czyś ty ogłuchł stary! pytam się czego beczysz?..

— Jasny panie! wyrzekł tylko Bazyli, i zachlipnął się mocno.

— No, no — już dosyć tego; ruszajcie sobie z Bogiem; już mi dzisiaj nie będziecie potrzebni; a jutro wam Strzyżowski, po dwa czerwone złote na osuszenie tych łez wypłaci.

Uradowani hajducy skłoniwszy się nisko, wyszli cichaczem, a po ich odejściu rzekł hetman:

— Głupie też to, ale przywiązane do mnie stworzenia.

— Jak wszyscy co mają szczęście zbliżyć się do osoby Waszej Miłości, rzekł z dworską układnością Nikoli.

— Jużem cię nieraz prosił kapitanie, żebyś mi dał pokój z komplementami, ale widzę że z tobą niema rady; prawdziwy Francuz z ciebie.

Nikoli chciał coś powiedzieć na swe usprawiedliwienie, ale hetman przerwał mu mówiąc:

— No, no — dajmy już temu pokój — wierzę że mię kochasz, i basta!.. Mnie trzeba będzie teraz spocząć, bobym chciał na jutro

jak najwięcej sił nabrać — a ty na wszelki przypadek powiedz Odrzykowskiemu, żeby w razie gdyby się pokazali Tatarzy, zebrał natychmiast dragonów i choć kilkadziesiąt szlachty co na lepszych koniach, i trzymał ich w pogotowiu uszykowanych w tyle za gumnami; mnie dać znać o tem natychmiast, równie jak o wszystkim coby zaszło ważnego. Porządku i baczności zalecać ci nie potrzebuję — przytem mamy podobno pełnię, — noc będzie zdaje się pogodna, to i łatwo się upilnować.

— Możesz Waszmość z pewnością rachować na mnie że nie zaspię...

— Wierzę ci, wierzę... Bądź mi zatem zdrowo do jutra, jeżeli mnie Tatarzy przed jutrem nie lubdzą. Bieleckiemu tam po drodze powiedz, żeby prócz ciebie, lub posłańca od ciebie nikogo do mnie nie wpuszczał — ale niech będzie na każde zawołanie.

* * *

Noc była rzeczywiście cudownie piękna i jasna. Księżyc ogromnem kołem zatoczył się na niebo, i takie szczodre łań światła strumienie, że ziemia stała prawie jakby w dniu wum blasku; a jakby na przekór, na wstyd ludziom, dokoła taki panował spokój, taka osiadła cisza, że słyszałeś dokładnie każde puknięcie bąka na dalekich moczarach, — każdy zgrzyt derkacza w trawie, i każde żałosne miauknięcie biadającej gdzieś na błocie czajki. Śród tego światłego na wskroś krajobrazu, sam tylko świeżo usypany wał brońniący miasta, czerniał zdala niby burzą ciężarną chmurą; światełka przebiegające po brońni, przechadzające się na nich straży, migotały naksztalt elektrycznych połytków, a nad niemi znów czerniał stary mur zamkowy, którego jednostajność przerywały także padające od zbroi wartowników odbłaski. Na całej tej jasnej przestrzeni jedyna to była plama ciemna, — wśród ogólnego spokoju jedyny punkt, który groził jego przerwaniem. Ale i nad tą chmurą błyszczała opiekuńcza gwiazda, której promienie rozjaśniały ją nieco, i wlewały w serce otuchę przed burzą: po nad wały miejskie i mury zamkowe wznosiła się wysmukła wieża karmelitańskiego kościoła, a na niej utkwiony wznosił się krzyż, i w księżycowym blasku świecił niby z nieba wzięta gwiazda, zupełnie do sióstr swoich tam wysoko rozsianych podobna.

I miasto uciszyło się znacznie, choć nikt prawie o snie nie myślał. Tu i owdzie tylko, zmożona całodziennem strapieniem i pła-

czem niewiaśta, rzuciła się jak była w ubra-
niu na posłanie, lub zadrzymiała nad kolebką
dziecięcia; zresztą wszystko było na nogach.
Na wałach ciągle zmieniały się strażę, a nie-
spracowany Nikoli ani chwili nie spoczął,
bacząc na porządek i bezpieczeństwo wszela-
kie. Szlachta zebrana w kupki, gwarzyła cią-
gle ale zeicha, choć gęste kubki miodu i
wina, bądź to przywiezionego ze sobą, bądź
napytanego w mieście, krążyły między nią bez
przestanku, w myśl ulubionego przysłowia:
„dobry trunek na frasunek.“ Wiedziano od
Nikolego, że słaby hetman chciał tę noc wy-
począć spokojnie, jeżeli mu Tatar nie prze-
szkodzi, — i szlachta nie chcąc się pokazać
gorszą Tatarą, trzymała języki i gardła na
wodzy.

* * *

Słońce spory już kawał dziennej drogi u-
biegło, kiedy wysłany w dwadzieścia koni dra-
gonii podjazd, wrócił z wiadomością, że kosz
tatarski wyruszył z nocnego stanowiska i
zwolna ile obciążony zdobyczą, pomykał się
w stronę Baru. Natychmiast też Nikoli ru-
szył na zamek zanieść hetmanowi tę nowinę
i o ostateczne rozkazy zapytać. — Z podzi-
wieniem zastał hetmana ubranego, i o wła-
snej mocy dość pewnym krokiem przechadza-
jącego się po komnacie.

— Niechże będą Bogu najwyższemu dzie-
ki, rzekł tedy skłoniwszy się po wojskowe-
mu, że mi pozwolił, Waszą Miłość w tak po-
żądany stan zdrowia dzisiaj oglądać.

— Nie jesteście jeszcze zdrowie — od-
parł hetman potrząsając z lekka głową; tylko
to na mnie dzisiaj dzień lepszy, zwyczajnie
jak zawsze kiedy paroxyzm przeminie; choć
tą razą czuję się znacznie lepiej niż zwykle.
Ale dajmy temu pokój: musi być jak jest i
basta; powiedz mi raczej z czem do mnie
przychodzisz? czy jest jaka nowina?

— A jesteście Miłościwy panie — a byłym
o niej prawie z uciechy zabaczył. Przed chw-
lą wrócił wysłany przezemnie podjazd, i przy-
niósł wiadomość że Tatarzy wyruszyli już ku
nam ze swego legowiska.

— Chwała Bogu! raz się już przecie zo-
baczmy na oko!

— Horda, o ile podjazd mógł sprawdzić,
niemała ciągnie powoli, bo wie dzie ze so-
bą tłum jeńców, i mnogą obładowała się zdo-
byczą.

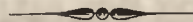
— Tem lepiej byłoby na nich uderzyć. Ta-
tar im bardziej objuczony łupieżą, tem nie-
skorszy do boju, i tem łatwiej tył podaje.

Ale o tem nie ma co i myśleć nawet, i le-
piej nie robić sobie oskominy. Niech tedy
tylko wszystko będzie w pogotowiu, — niech
Odrzykowski, jak mówiłem, stanie z konne-
mi pod gumnami, — zresztą wszystko co zdol-
ne do broni na wały miejskie; kobiety, star-
ców, kaleki i dzieci sprowadzić tutaj na za-
mek, dokąd także i cała obrona cofać się
ma, gdyby się, czego nie daj Boże, i czego
się nie spodziewam, na wałach utrzymać nie
mogła. — Zresztą, zobaczymy co Bóg da, a
teraz muszę zająć trochę do żony, i w bez-
piecznem miejscu z kobietami ją ulokować.

I skinieniem ręki pożegnał hetman Nikole-
go, który pospieszył odebrane rozkazy wy-
konać.

* * *

Dobrze się już miało ku południowi, kiedy
strażę na szanцах Baru stojące, dojrzały
pierwszych tłumów tatarskich, które zdala
niewyraźną chmurą czerniały na widokre-
gu. — Resztki ludu wystraszonego ze swych kryjó-
wek pochodem hordy, wraz z wyruszonym
z legowisk dzikiem ptactwem i zwierzem,
w popłochu przypadły pod bramy, błagając
o wpuszczenie do miasta. (D. n.)



Literatura religijna. Znany i szanowany po-
wszechnie kardynał Wiseman, zasłużony wielą nau-
kowemi pismami, stara się od niejakiego czasu zaszcze-
pić ducha religijnego także w plody literatury nado-
bnej. Najnowszemi czasy wydał on nieco dłuższą
powieść „Fabiola“: w której opisując przeszłowania
chrześcijaństwa za cesarzów rzymskich w IX. wieku,
przedstawia nam w prawdziwie porywającym świetle
owoczesne życie chrześcijan i wzniosłe poświęcenia
się męczenników. Wspaniała postać świętej Agnie-
szki, przyswiecającej jasnym przykładem późniejsze-
mu życiu dumnej pogańskiej Fabioli, może wszystkim
dziewicom chrześcijańskim posłużyć za wzór nie prze-
ścigniony, a młody i szlachetny bohater Sebastyan
musi każdego z młodych czytelników jaknajwyższem
przejać współczuciem. Oprócz tego maluje dzieło
kardynała Wiseman tak wydatnie i przystępnie nie-
które ważne momenta historyczne, iż obok przyje-
mności i moralnego zbudowania zapewnia ono czy-
telnikowi jeszcze i umiejętną korzyść niemałą. Zy-
czyby z całego serea, aby tak zacna książka do-
czekała się i u nas jaknajspieszniejszego przekładu
i naśladownictwa.

Staro dawne wnioski fizyognomijne. W naj-
dawniejszych już czasach upatrywano w powierzch-
wności i fizyognomii człowieka zwierciadło jego cha-
rakteru, usposobienia i skłonności. Pomijając pierw-
sze wzmianki w tym względzie u Aristotelesa. Pli-
niusza i wielu pisarzy średniowiecznych, przyta-
czamy tu ustęp z pewnej książki polskiej, napisanej
o cały wiek przed narodzeniem *Lawatera*: „Włosy
miękkie znaczą człowieka bojaźliwego, bo mają po-
dobieństwo z siercią bojaźliwych zwierząt, jakoto:

jelenia, owcy. Włosy ostre, twarde są znakiem czelka silnego, odważnego, bo takiesame są włosy na lwie, dziku, koźle. Włosy kędzierzawe predkiego ołysienia są znakiem, dla suchości głowy. Włosy rude znaczą dobrej komplexyi czelka; nazbyt rude a prawie szafranowe znaczą choleryków, których kolor włosów *causat* wielkość żółci. — Twarz długa w człowieku znamionuje lenistwo, płochosć i serce bojaźliwe. Zbytnie zaś białe twarze, według zdania Aristotelesa, znamionują niewieściuchów, lekliwych. Twarze piegowate, nakrapiane, plamiste znaczą człowieka chytrego, sztucznego i zdradzieckiego. Czoto małe, ciasne, świadkiem jest głupiego czelka; zbytecznie wielkie leniwego; miernej wielkości czoto świadkiem bystrego, ostrego i obrotnego rozumu. Okrągłego czota są gniewliwi. Czoto zaś, jeśli jest niby proporceji kwadratowej, prztem na srodku zakłesłe, znaczy dowcipnego, wielkiego serca i umysłu człowieka. — Brwi wielkie i ledwie nie złączone nad nosem, dają znać że taki śmiały i choleryk. Brwi małe małego też serca nieśmiałego znaczą. — Oczów częste mruganie jest znakiem krótkiego życia dla delikatności muszkulu. U kogo oczy wielkie, ten ma być leniuch, u kogo małe, ten ma być dowcipny, frantowaty; u kogo leniwe, pomalu się obracające oczy, w tym tępy rozum i bojaźliwe serce. Oczy predko latające *denotant* dowcip, obrót i odwagę. U kogo czarne, ten amarów niewolnik i gorący. Oka suchego są dowcipni. Kto we śnie oczu nie zawiera jest zajeczej natury, bojaźliwy. Czerwone oko (jeśli nie od gorzałki albo wiatru) znaczy śmiałego i odważnego. — Uszy subtelne są znakiem dowcipu bystrego, a wielkie melancholika. Czerwone wstydu, wielkie a zarosłe bystrego słuchu są znakami. — Nos długi znaczy bystrość odoru, mały nos jest znakiem podłego, nikczemnego umysłu. Nosa orlego człowiek jest też serca wspaniałego, mezkiego, a co większa *signum prudentiae* nos takowy. Nos *simius* t. j. człek nosa wkleśłego, jest niepowściągliwy w pasyach. — Piersisty człek a obrosły miewa zbytnią serca gorącosć. — Ust wielkich wielkiego też bywają serca, małych ust, małego. Jeśli otwarte, znaczą głupi umysł. — Zęby rzadkie ominują krótkosć życia; gęste, mocne, są znakiem mocnej konstytucyi. — Broda długa i gęsto zarastająca znaczy męstwo i sił wigor. — Chód powolny, leniwy, żółwi, znakiem zimnej melancholicznej komplexyi.⁴

Czulodrzew czyli akacya wstydliva *mitmosa pudica*. Jestto jedna z najciekawszych roślin nowego świata a mianowicie Brezylji i Ameryki południowej, jestto istny Proteusz roślinny, przybierający za najmniejszym wpływem zewnętrznym kształty i barwy odmienne. Za najlepszym dotknięciem rak ludzkich zwijają się zaraz liście czulodrzewu w jakiś zwiedły pączek hekształtny, który aż po niejakiem czasie dawną odzyskuje powierzchownosć. Chmura zakrywająca okrag słoneczny, może również w jego barwach i kształtach niemala sprawić odmianę, niemniej jak i każdy silniejszy powiew wiatru, każda naglejsza zmiana powietrza. Z zachodem słońca więdnioją jego liście, jakgdyby opadać miały, lecz nazajutrz powracają z pierwszym brzaskiem dnia do pierwotnego stanu, a im dzień jest piękniejszy, tem postać jego weselsza. Zawsze jednak ulega w równy sposób wszystkim naglejszym wpływom zewnętrznym. Najlżejsze zadrażnienie, mniejszy lub wiekszy stopień ciepła lub zimna, a nawet zapach działają nań mniej-

więcej. Jestto piesszołek przyrodzenia, któremu wszystko zaszkoździć może. Badacz natury Desfontaines przewożąc cały krzew czulodrzewu z jednego miejsca na drugie, opowiada, że przez zwyczajny ruch powozu liście zamknęły się z początku, wnet jednak rozwarły się napowrót, tak jakgdyby się z czasem przyzwyczały do ruchu powozu. Doświadczono także że przeciawszy predko ostrym nożem grubą łodygę czulodrzewa, dostrzedz można na nożu czerwonej plamki, zupełnie do krwi podobnej. Mieszkańcy Senegalu nazywają kwiat ten *Gaerakiao*, to jest *dzień dobry*, sądząc że za dotknięciem, gdy się do niego zbliśka przemawia, natychmiast liście skłaniają się ku dolowi, jakoby chciały powiedzieć dzień dobry. W dawnych czasach wiele przymiotów tej roślinie przypisywano. Pewien filozof Malabaru dostał pomieszania zmysłów od zbyttecznego zastawiania się nad własnosćiami czulodrzewu. Obok czulodrzewu jest w Ameryce jeszcze inna roślina, wzniciająca powszechna ciekawosć. Liść jej składa się z dwóch centków jednakich, złączonych z sobą u spodu. Częsć wierzebnia liścia okryta jest omszonemi brodawkami, z których lepki płyn wycieka. Muchy i inne owady, przywabione tym sokiem, osiadłszy na liściu zaledwie go podrażnia, zaraz obiedwie otwarte u góry części liścia zamykają się nad niemi, i tem mocniej ścisnąją uwieziony we srodku owad, im usilniej tenże wołosć odzyskać probuje. Szerególniejsza zaś, iż skoro owad w swoim wiezieniu żyć przestanie, liść natychmiast otwiera się i do dawnego powraca stanu.

Prawdziwa odwaga jest ta, której znaleźć nie można w tych trzech rodzajach osób, to jest: w zuchwałych, w tchórzach i chepliwych. Mówiono Karolowi V. o pewnym oficerze hiszpańskim, chełpiącym się, iż nigdy w swoim życiu nie doznał bojaźni. „Widać“ — odpowie Karol — „że ten człowiek, nigdy palcami świecy nie ucierał, gdyż byłby się zapewne lękał spazzenia.“⁴

Rzadka cnota w sekretarzu. *Pan de Baviile*, intendent Langwedoku, miał nadzwyczajnie ograniczonego sekretarza. Uzywając go pewnego razu do bardzo ważnej i tajemniczej korespondencyi z ministrem, zakończył list następującemi słowy: „Niech to pana nie dziwi bynajmniej, że do tej korespondencyi cudzej używam ręki; mój sekretarz tak jest głupi, iż w tej chwili nie spostrzega nawet, że to o nim mowa.“

Literatura ma w sobie nieco z systemu słonecznego. I tak, pisma peryodyczne są planety, każde ma swój ruch i kurs regularny; jedno codziennie biegnie swój odbywa, tanto cztery razy na tydzień; to całego tygodnia potrzebuje, tanto dziesięciu dni, inne piętnastu, owo dopiero w miesiąc pokazuje się, a kalendarz jak drugi Uranus ledwie w rok kończy drogę swoją. Pojedyncze dzieła sąto nowe odkryte gwiazdy; dzieła z recenzjami niby komety z ogonami. A wszystko to obraca się w około prenumeraty jako głównego swego ogniska.

Zarty. — Pewnego pijanego zapytano, czemu stoi w pośrodku ulicy? „Strasznie mi się w głowie kręci“ — odpowiedział. — „Całe miasto lata dokoła mnie.“ — „A czemuż nie idziesz do domu?“ — „Czekam aż moja kamienica nadbiegnie.“⁴

Każdy wybornie może dawać kurs cierpliwości, ale sam takich lekcyj rzadko słucha.

Skąpy dwa razy traci, a rozrzutny od jednego razu.